

ks. Adam Piekarczyński SDB

Monodram:

„Oblęd”

(kontynuacja „Lamentu paranoika” z roku 2005 r.)

Akcja spektaklu na pozór toczy się w świecie urojeń chorego człowieka. Tak naprawdę ukazuje ona smutny portret przeciętnego życia. Świat, w którym człowiek zaprzeczył wszelkim wartościom, także moralnym, staje się światem, w którym zaprzecza swojemu człowieczeństwu. Zagubiony w rzeczywistości, która tylko z wierzchu wydaje się być prosta, musi sobie uświadomić, że życie bez sensu kończy się tylko śmiercią...

SCENOGRAFIA

Pośrodku pustej sceny stoi łóżko. Z boku biurko z krzesłem i lampką. Za sceną miotła.

AKCJA

Paranoik leży w przeciwdeszczowym płaszczu na łóżku. Patrzy się w sufit. Melancholijnie.

Czasem jest tak ciężko na sercu,
że właściwie nie wiadomo dlaczego.
Leży się w bezruchu i czas też leży,
i leży się z czasem i nic się nie dzieje...

Czasem myśli biegną tak wolno,
że aż za szybko, aby je dogonić,
i wtedy się goni i płacze...

Obraca się twarzą w stronę widowni.

Niekiedy wszystko jest bez sensu,
a nic jest z sensem...

I w takich chwilach chciałoby się być tam,
gdzie nie ma nikogo,
ale tam też są wszyscy myślący tak samo...

Obraca się na łóżku plecami do widowni. Po chwili podnosi się i siada na łóżku ale wciąż plecami do widowni – tylko głowę ma przekręconą na bok.

Już nie mogę wychodzić...

Przy drzwiach stoi człowiek

w przeciwdeszczowym płaszczu i pali papierosa...

Zaczyna opowiadać z podnieceniem. Obraca się całkowicie w stronę widowni.

Raz zasnął – pamiętam dobrze – pierwszego października osiemdziesiątego szóstego.

Ale ja nie miałem sił się ruszać...

Zastanawia się chwilę... Spokojnie...

Albo i nie chciałem za bardzo...

Znów z podnieceniem.

W każdym razie tego dnia przysłała matka i przyniosła placek ze śliwkami.

I powiedziała, że nie udał się dobrze, ale mi smakował bardzo!

Cieszyła się...

Potem poszła, a ja znów z nim pozostałem.

Udając głos strażnika – tonem rozkazującym, różnymi sposobami.

Dzisiaj będziesz leżał kretynie! Cały dzień leżał!

I nigdzie nie wstaniesz... Hahahaa... A gdzie miałbyś wstawać!?

Jesteś tylko głupkiem, jak wielu głupków tego świata!

Nie masz gdzie wstawać, rozumiesz idioto?!

Wraca do normalnego głosu. Szybko kładzie się spowrotem na łóżku – wyprostowany.

Dobrze, będę leżał!

Ale tylko dlatego, że grzecznie poprosiłeś...

Tylko dlatego...

Wokół zapada ciemność. Nagle ostre światło na twarz paranoika.

Nie mam żony, dzieci, i wnucząt – i co się dziwicie?!

Nie mam samochodu i domku z ogródkiem – i co się dziwicie?!

Nie mam konta w banku i pracy dobrej – żadnej nie mam pracy!

Co się dziwicie?!

Ja mam dopiero 35 lat, jeszcze młodość przede mną, a wy się dziwicie!

Wstaje z łóżka i zaczyna niedbale rozrzucać poduszki, prześcieradło, kołdrę, jakby czegoś szukając.

I wczoraj na dodatek zgubiłem swojego misia...

Miałem go zawsze przy sobie –towarzyszył mi w drodze do szkoły.

I wtedy, kiedy do ZOO z mamą...

A teraz nie ma go!

Z coraz większą złością.

Nie ma go, cholera!

Uciekł, nawiał, pieprzony partyzant!

Bierze z trudem i przewraca na bok łóżko. Szuka dalej wokół i krzyczy!

Niech no cię znajdzie! Niech no ja cię tylko znajdzie!

Zastrzelę jak psa!

Będę wyrywał nogę za nogą i rękę za ręką!
Nie zostawia się przyjaciół w biedzie!
Wyjmuje z kieszeni nóż plastikowy, jednorazowy. Przygląda mu się.
Albo zadżgam go nożem...
Uuuuuu.... Wiem jak to się robi – nie raz widziałem w telewizji.
I koledzy opowiadali...
Chowa się za łóżkiem. Mówi szeptem
Muszę tylko na niego poczekać.
Przyczaić się, zaczaić i stać się niewidzialnym jak powietrze.
A kiedy wróci i usłyszę jego klucze na klatce schodowej,
wypełzną jak żmija ze swojej kryjówki...
Jeśli zrobię to dobrze, jeśli mnie nie zauważy,
nie będzie go aż tak bolało... Odejdzie w spokoju świętym.
Wychodzi zza łóżka i podchodzi do biurka. Wyjmuje jakieś kartki z szuflady i zabiera się do pisania.
Ale najpierw muszę spisać testament.
Zanim przyjadą i mnie zabiorą i oskarżą o zbrodnie, których nie byłem sprawcą.
Wstaje, podchodzi do widowni. Ciepłym głosem.
Ja nie urodziłem się mordercą. Ja nie jestem zły.
Ja po prostu tak zostałem wychowany! – spytajcie mojej matki.
Ja nie miałem ojca, tylko telewizor kolorowy.
Ze sztucznym uśmiechem.
Matki też nie miałem, tylko to wstrętne ciasto śliwkowe.
A mówiłem jej tyle razy, że po śliwkach mam rozwolnienie, ale nie słuchała.
I zawsze mówiła, że się nie udało tym razem...
A było dobre bardzo, tylko te śliwki!
Siada spowrotem do biurka. Zaczyna pisać i mówić na głos.
Testament mój...
Szukam drogi do nikąd
wylanej słodyczą niezapominajek...
Białych koni, powozu, karła – woźnicy...
Chcę iść, nie jechać, tak tylko się zdaje,
Patrzy przed siebie. Refleksyjnie.
że jadę i płynę z brudami ulicy...
Wstaje i drze kartkę i podarte kawałki wkłada do jednej z szuflad w biurku.
Staje przed publicznością i mówi, zapalając jednocześnie papierosa. Jedną rękę trzyma w kieszeni.
Testament to WIARA, że ktoś go kiedyś przeczyta.

Testament to NADZIEJA, że spełnią twoją wolę ostatnią ze strachu przed Bogiem.

Testament to MIŁOŚĆ?!

Zastanawia się chwilę...

Gdzie jest miłość po śmierci w ogóle?!

Odwraca się w bok sceny i krzyczy, jakby do „strażnika”.

Ty wiesz gdzie miłość jest w ogóle?!

Z ironią o „strażniku”.

Czasu nie ma nawet odpowiedzieć!

PALI PAPIEROSA!

Umrze wcześniej na raka i dobrze mu tak...

Bo w życiu trzeba rozsądnie wybierać, logicznie...

Zaczyna chodzić po scenie szybkim krokiem i powtarzać.

200 dni szkoły rocznie przez 12 lat.

6 godzin nauki przez jeden dzień.

60 minut bezpowrotnie zabranych przez bezduszny druk i twardą oprawę...

Tak, tak, tak, tak, tak, tak, tak... oooooooooooooooooo, tak!

Jestem intelektualnie przygotowany na ten świat!

Jestem świetnie przygotowany!

Podchodzi do biurka, wyjmuje szufladę do której schował poprzednio podartą kartkę. Wysypuje na środek sceny całą szufladę wypełnioną po brzegi podartymi skrawkami papieru.

Napisałem już w życiu kilka testamentów...

Ale żaden mi się nie podobał...

Kiwa głową na „strażnika”.

I jemu też nie!

Przy drzwiach stoi

w przeciwdeszczowym płaszczu i pali papierosa...

Poza tym nie zależy mi, co zrobią ze mną po śmierci.

Mogą mnie nawet żywcem wtedy zakopać.

Spalić, rozsypać prochy nad morzem... albo w górach!

Podchodzi do widzów. Zwraca się do jednego widza.

Ale nie płacz za mną kochanie...

Nie płacz, tylko zrozum, że takie życie – kończy się śmiercią.

Umieram, bo żyłem za szybko!

Za dużo w życiu chciałem zrobić

i nic w końcu nie zrobiłem...

Kłęka przed widzom.

Ale nie płacz za mną kochanie...

Zostawiam ci w końcu święty spokój i kilka listów na pożegnanie...
Zaczyna łkać. Po chwili wstaje i wraca na scenę. Z pochmurną twarzą zwraca się do widzów. Krzyczy.

I co myślicie, że to też było udawane?!

W swoich mądrych głowach analizując wszystkie słowa...

Faryzeusze, obłudnicy, przyjaciele z nożami w kieszeni!

Rodzino moja ludzka!

Tacy właśnie jesteście!

Wskazując ręką w stronę widza, przed którym przed chwilą klekał.

A ja ją naprawdę kochałem...

Tak bardzo kochałem, aż do zapomnienia siebie.

Zbity przypadkiem kubek z czułością

obudził rzekę wyschłej samotności...

Z początku cisza, chwila nieufności...

Są jeszcze miejsca gdzie trzeba miłości...

Spuszcza głowę. Lampa na biurku zaczyna migać. Paranoik spostrzega to, podbiega do biurka, zabiera krzesło i stawia je na środku sceny. Wchodzi na krzesło i przykłada rękę do oczu, jakby patrzył w dal.

Już są, już idą...

Zabiorą mnie i powiedzą, że tam mi będzie lepiej,
że się mną zajmą!

Są ich tysiące, setki tysięcy i miliony...

Moje matki z plackami ze śliwek!

Zeskakuje z krzesła, odstawia je na miejsce. Lampka przestaje migać.

Podnosi spowrotem łóżko i zaczyna je ścielić.

Myślicie, że jestem walnięty, tak?!

Psychol – aaaa, znam to! Już w szkole miałem taką ksywkę.

Inni mieli jeszcze gorsze, ja miałem taką!

I tak mnie zdeterminowali w życiu! Właśnie przez tą ksywkę głupią.

Przerywa na chwilę ścielenie łóżka i podchodzi do skraju sceny w stronę widowni.

Czy ja nie mogę być kiedyś normalny?!

Śmieje się w głos.

Hahahahaha...

Wskazując ręką na widownię.

Pytają świry!

Paranoicy, ustalający normy normalności.

Stuknięci, zamykający stukniętych w szpitalach psychiatrycznych.

Wyciąga z kieszeni grzebień i czesze się.

A pewnie, że mogę być taki, jak wy!

W każdej chwili mogę wtopić się w wasz tłum i nawet przez sekundę, milisekundę i mikrosekundę nie zwrócić na mnie swojej uwagi.

Podbiega i bierze krzesło, zaczyna z nim tańczyć.

Mogę tańczyć z wami na dyskotecę, zapraszać wasze żony do tańca.

Mogę wywijać piruety i tańczyć salsę,
a nawet tango i walca...

Stawia krzesło na środku, bokiem do widowni.

Mogę wejść z wami do metra...

Z przesadnymi ruchami, jakby wchodził do kolejki metra.

Mogę tak co dzień jeździć z wami do pracy!

I z pracy spowrotem do domu.

Chwytając się jakby uchwytu w kolejce metra. Udając dialog.

Oj, przepraszam panią najmocniej, taki tłok dzisiaj!

Nie, nie! Nie szkodzi!

Wskazując ręką na puste krzesło.

Proszę usiąść najmocniej!

Ależ nie, proszę bardzo, ja zaraz wysiadam...

Och, dziękuję bardzo, jest pani niezwykle uprzejma.

Kłania się i siada na krześle. Jedzie dalej i z wychyloną głową kontynuuje swój dialog.

Widzę panią każdego dnia i tak się zastanawiam...

Ach, nie przyjmuje pani propozycji od nieznajomych?!

Ale my się znamy już dobrze...

Codzie tu jeździmy razem... Spędzam z panią więcej czasu niż z moją matką!

A propos, lubi pani ciasto śliwkowe?!

OOOOO, to świetnie się składa, bo mama mi przyniosła ostatnio!

To, co?! Sobota?!

Zapraszam do mnie!

Nagle wszystkie światła gasną – zupełne ciemności. Paranoik wstaje i mówi poważnym głosem.

Nawet nie znałem jej imienia.

Była dla mnie panią z metra.

Była piękna – jej blond włosy spływały łagodnie na cudownie gładką szyję.

Miała oczy błękitne, ale z czymś takim zielonym, jak szafir.

Jej usta były wilgotne i zawsze mogłem z nich wyczytać tęsknotę za moimi ustami.

Kiedy przechodziła obok, jej zapach prowokował mnie do uśmiechu...

pożądania...

Kiedy mówiła swoje: „Dzień dobry. Jak się pan dziś czuje!”
miałem prawdziwą ochotę porwać ją i uciec na koniec świata...

Powoli światło czerwone.

I tam ją widziałem po raz ostatni.

Za dwa dni w gazecie zobaczyłem jej nekrolog.

Zostawiła męża i dwójkę dzieci, już dorosłych prawie.

Siada na środku sceny. Coraz więcej światła.

To była moja jedyna miłość. Taka prawdziwa i soczysta.

Matki nigdy nie kochałem, bo ona kochała mnie za bardzo!

I wiedziałem to, że ona wie...

Bolało mnie to jeszcze bardziej i bardziej...

Wstaje i sztucznie uśmiecha się w stronę widowni.

Ehhh, na ten świat nie ma lekarstwa.

Zabiera się dalej za ścielenie łóżka.

Psychologia?! – Napuszone gadanie tych, co myślą, że wiedzą.

Filozofia?! – Ha! Ci co wiedzieli już dawno pomarli bez skutku.

Religia?! – Ba! Religię miałem w szkole i starczy...

Oni sami nie wiedzą o co im chodzi!

Miał być murzyn papieżem i co?! Nie sprawdziło się!

Miał być świata koniec i co?! Było czy nie było?!

Kończy ścielenie łóżka. Wychodzi ze sceny i przynosi miotłę. Zaczyna zamiatać podłogę, zmiatając również wcześniej rozrzucone podarte skrawki papieru.

O tak, tak, kochani...

Potrafię być niezwykle normalny i rozsądny!

Zmiotę tylko te wszystkie wartości, które z wami tu razem podeptałem...

I te nawet zmiotę, co z naiwnością ukryliście pod łóżkiem.

Zamiata teraz pod łóżkiem. Zaczyna kaszleć (z powodu kurzu).

O, i nawet tam są te cnotki nasze, co się skryły...

Uśmiechy sztuczne, jak malowane!

Dobre słowa rzucane beztrudno jak czerstwy chleb ptakom...

Wkłada głowę pod łóżko i woła.

Chodźcie, chodźcie, nie wstyďte się nas...

Chodźcie, wciąż was potrzeba!

Wychodzi spod łóżka. Zamiata dalej.

200 dni szkoły rocznie przez 12 lat.

6 godzin nauki przez jeden dzień.

60 minut bezpowrotnie zabranych przez bezduszny druk i twardą oprawę...

Tak, tak, tak, tak, tak, tak, tak, tak... oooooooooooooo, tak!

Jestem intelektualnie przygotowany na ten świat!

Jestem świetnie przygotowany!

Ustawia krzesło naprzeciw łóżka. „Sadza” na krześle miotłę i zaczyna z nią dyskusję.

Miałaś zupełną rację wtedy, pamiętasz?!

Mówiłaś, że kochać nie warto i wierzyć nie warto...

Nadzieja?! Bez pieniędzy można ją sobie tylko...

Udając zażenowanie, wychyla się w stronę publiczności.

Przepraszam, nie mogę powiedzieć, bo dzieci na widowni!

Kontynuuje.

Mówiłaś też, że kraść trzeba bo wszyscy kradną!

Och! Jaka cenna rada! Kochałem cię za to!

I mówiłaś też, coś jakby szeptem, ale słyszałem,

że prawda obroni się sama, więc można mieć swoją PRAWDĘ!

I zaprawdę, zaprawdę mówiłaś, że...

Myśli, drapie się po głowie. Nie może sobie przypomnieć.

Wiele mądrych rzeczy mówiłaś...

Takich życiowych spraw.

Niespodziewanie strąca miotłę z krzesła, ruchem, jakby uderzał kogoś w twarz. Cisza. Paranoik patrzy w stronę widowni. Światło gaśnie powoli.

Zostaje tylko niebieskie światło padające na paranoika. Wstaje powoli.

Ale ja już tak nie mogę...

Nie mogę umrzeć nieprzygotowany na śmierć!

Powoli zaczyna ściągać z siebie przeciwdeszczowy płaszcz.

Mówią, że nie ma prawdziwej miłości – ale ja jej poszukam, tam gdzie jej nie ma!

Mówią: nadzieja to chora fantazja – ale ja ją pokocham!

Mówią, że wiara to żarło dla głupców – ale ja się nakarmię...

Odstawia krzesło na miejsce i przewiesza przez nie swój płaszcz. Zwraca się w stronę publiczności.

A ty rób, co chcesz... Jesteś przecież normalny i zdrowy.

Nogami mocno stoisz na ziemi i niepotrzebnie nie patrzysz w niebo.

To ja jestem chory!

Kiwa głową w stronę „strażnika”.

On też tak mówi – powtarza codziennie.

Uśmiecha się.

Przy drzwiach stoi

w przeciwdeszczowym płaszczu i pali papierosa...

I myśli, że mnie posiadał i zna mnie i kocha...

Idzie w stronę łóżka. Światło punktowe na łóżko.

...ale ja mógłbym zniszczyć go w każdej chwili.

W każdej chwili...

Gaśnie światło niebieskie.

W każdej chwili.

Kładzie się na łóżku na wznak i mówi do sufitu.

Muszę tylko odnaleźć w sobie troszkę nadziei...

Troszeczkę taką...

Małą...

Odwraca się w stronę publiczności.

nabieram gwiazdy srebrną łyżeczką

Ty nie usłyszysz

zbyt cicho

światłem przygasłym wciąż frunę myślą

choć wczoraj mówiłem nie przychodź...

choć wiem na pewno nie będzie Cię dzisiaj

tlącą się jeszcze nadzieją

przemykam tam

gdzieśmy kiedyś byli

jesienną wtuleni zawieją

przez krople deszczu zamykam powieki

a niecierpliwie kiwając księżyc

pozwalam sobie raz jeszcze usłyszeć

puste, wygasłe ulice...

Odwraca się plecami do widowni. Zasypia. Światło gaśnie.

Koniec.

Copyright © by Adam Piekarczyński

poczta@adampiekarczyński.pl